

Najpiękniejsze opowieści
Świętego Mikołaja

Najpiękniejsze opowieści
Świętego Mikołaja

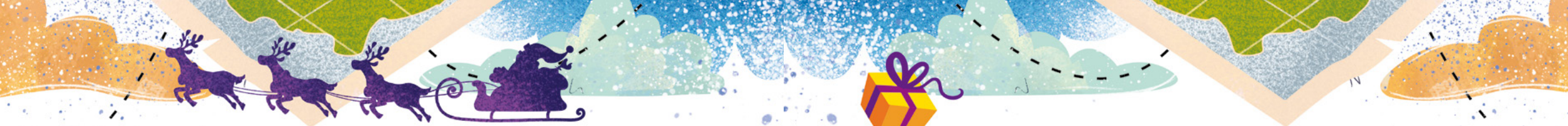


Marta Koźlak
Izabela Michta
Ariadna Piepiórka



Ilustrowała Milena Molenda

Wydawnictwo Skrzat
Kraków



Marta Koźlak

Zagubiony Mikołaj





Rodzina Pogodzińskich, czyli mama Ania, tata Grzegorz oraz chłopcy Miłosz i Julian, wybierali się w przeddzień Wigilii w kilkugodzinną podróż. Jechali do babci Hani i dziadka Władka, by spędzić u nich całe święta. Chłopcy kochali swoich dziadków, na co dzień rozmawiali z nimi przez telefon czy nawet przez internet, korzystając z dobrodziejstw najnowszych technologii. Nic jednak nie zastąpi mocnego przytulenia ani wspólnej zabawy, dlatego Miłosz i Julek nie posiadali się z radości, że jeszcze tego wieczora wpadną w ich ramiona.

Od kilkudziesięciu minut cała rodzina była już w drodze. Jechali zapakowani po sam sufit, mocno spóźnieni. Tego dnia rano rodzice jeszcze pracowali. Tata dopinał ostatnie projekty u siebie w firmie, a mama, fotografka, robiła wyblaganą sesję bożonarodzeniową dzieciom sąsiadki z góry. Za to Miłosz z Julkiem za niczym nie gonili, nigdzie im się nie spieszyło. Poranek

spędzili na mozolnym układaniu wieży z klocków i skrupulatnym zabałaganianiu pokoju. Nawet ubieranie się i jedzenie śniadania potraktowali zgodnie z ideą celebrowania codzienności, co prawie doprowadziło do rodzinnej awantury, bo w południe okazało się, że wciąż byli w piżamach.

Tata nazywał siebie mistrzem objazdów i nawigacji. Jechał w zielonych skarpetkach mamy, bo swoje czyste spakował już do walizki. Mama siedziała wygodnie w fotelu, gotowa do lektury, którą z braku czasu ciągle odkładała na później. Chłopcy, zapięci w fotelikach, rysowali na tabletach graficznych. Im akurat czas, który mieli spędzić bez ruchu, wydawał się koszmarem. Rodzice liczyli, że Miłosz z Julkiem szybko zasną, a oni dzięki temu unikną niekończących się pytań synów: „Daleko jeszcze?” i „Możemy bajkę?”.

W bagażniku oprócz walizek jechały prezenty, ale nie takie zwykłe, chociaż też zapakowane w kolorowy papier. W tym roku wszyscy członkowie rodziny Pogodzińskich uznali, że ofiarują sobie coś, czego najbardziej im potrzeba, a czego ostatnio mają bardzo mało – czas dla siebie. Przykładowo mama dostanie

od taty karnet na wieczorne rozmowy przy gorącej czekoladzie bez telefonu w ręce, Miłosz da tacie bon na wspólne budowanie z klocków, a Julek otrzyma od mamy zaproszenie na pieczenie pizzy.

Tata, koncentrując się na jeździe, a mama, próbując zrozumieć fabułę czytanej przez siebie książki, jednocześnie starali się zabawiać chłopców. Teraz grali w piątą już grę – tym razem w „Zgadnij, co widzę”.

– To, co widzę, jest białe i zimne – powiedział tata.

– Śnieg! – krzyknęli jednocześnie chłopcy.

– Ta zabawa jest bez sensu, za oknem szaleje śnieżycy, a tu w środku nic się nie zmienia, więc nie da się wymyślić już niczego nowego – uznał Julek z rezygnacją w głosie.

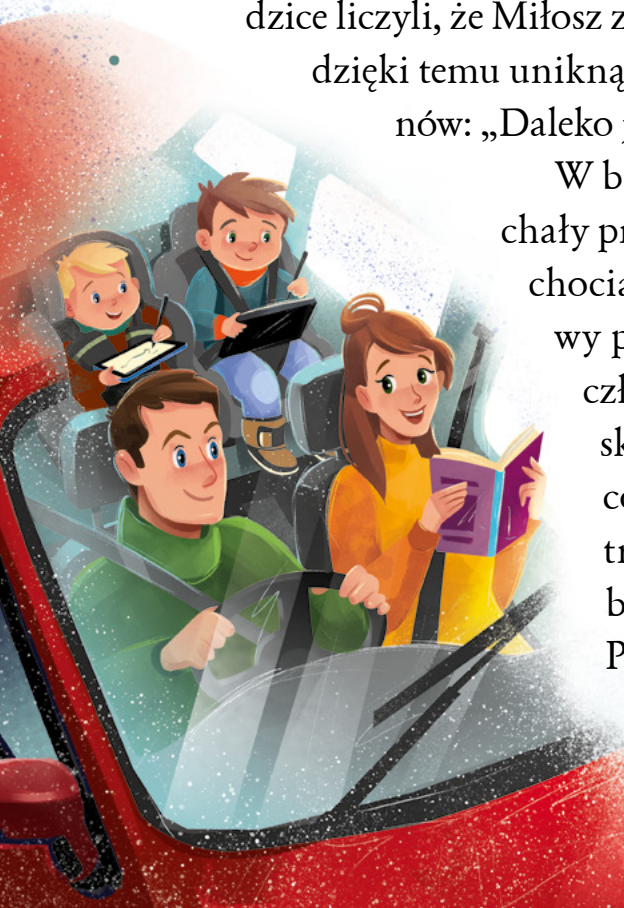
Nastała cisza. Płatki śniegu lepiły się do szyby, wycieraczki pracowały na pełnych obrotach, a za oknami było po prostu białe. Tegoroczne święta zapowiadały się naprawdę magicznie. Cały świat pokrywała śnieżnobiała kołderka, drzewa wyglądały jak ubrane w sukienki, a domy przypominały te z bajek o krasnalach. W pewnym momencie odezwał się Miłosz:

– To, co widzę, ma poroże i czerwony, migocący nos.

– Ja wiem, ja wiem! Renifer, i to Rudolf w dodatku! – zawołała entuzjastycznie mama.

– Ale miałeś opisywać to, co widzisz, a nie to, czego nie widzisz – odezwał się tata z pretensją w głosie.

– Tylko że ja to naprawdę widzę!



– A może jeszcze sanie i Mikołaja? – zaśmiała się mama.

– A żebyście wiedzieli, że widzę! – odpowiedział zdecydowanym tonem Miłosz.

– Tato, lepiej zerknij w lusterka... A ty, mam, w szybę... – dodał Julek, który szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w świat za oknem.

Tata rzeczywiście kontrolnie zerknął w lusterka, a mama oderwała wzrok od czytanej książki, obróciła się w prawo i wyjrzała przez okno.

– Renifery... Sanie... Mikołaj... – zaczęła cicho wliczać mama.

Tata starał się wciąż jechać prosto. Długo jednak nie dało się ignorować faktu, że oto równoległe z ich autem, chociaż troszkę nad ziemią, przemieszczało się dziewięć reniferów ciągnących złoto-czerwone sanie, a w nich siedział nie kto inny, jak sam Święty Mikołaj!

– On czegoś od nas chce – zauważył Julianek.

– Zobacz, macha do nas! – zawołał Miłosz.

– Chyba mamy się zatrzymać... – powiedziała niepewnym głosem mama.

Tata, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje, zaczął zwalniać i zjechał na pobocze. Sanie z reniferami również. Teraz stały przed samochodem rodziny Pogodzińskich.

– Odepnijcie nas! – krzyknął Miłosz. – Gdzie są kurtka i czapka? Chodźmy szybko!

– Mamo, mam, to prawdziwy Mikołaj? – zapytał Julian. – W przedszkolu nikt mi nie uwierzy. Myślicie, że się zgodzi, żebyśmy zrobili sobie z nim zdjęcie?

– Ruszajcie się, przecież nie każecie Mikołajowi na siebie czekać! – pospieszał rodziców Miłosz.

Zanim dorośli w jakikolwiek sposób zareagowali, rozległo się pukanie w okno. Tata zerknął w nie przerażony. Popatrzył na mamę pytająco, a ona skinęła lekko głową. Otworzył szybę. I chociaż na zewnątrz szalała śnieżycą, to otwarcie okna nie sprawiło, że w aucie zrobiło się zimniej. Płatki śniegu też jakby w ostatniej chwili zmieniały drogę i ostatecznie nie wpadały do środka.

– Dobry wieczór! Przepraszam, Grzesiu, że musiałeś się przeze mnie zatrzymać. Mam nadzieję, Aniu, że nie przerwałem ci lektury w najciekawszym momencie. Dobrze was widzieć, Miłoszku i Julianku! – zawołał radośnie Święty Mikołaj. Głos miał ciepły jak kakao z piankami. Na sam jego dźwięk w człowieku rozlewało się ogrzewające poczucie radości i spokoju.